

A dark silhouette of a man in profile, facing right, with a cigarette in his mouth. He is standing and looking towards the right side of the frame. The background is a textured blue.

Drugie zabicie psa

**MAREK
HŁASKO**

Marek Hłasko

DRUGIE ZABICIE PSA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-93-8

Copyright © Agnieszka Czyżewska-Stempa, Małgorzata Wolf

Tekst: Da Capo, Warszawa 1993

Julowi Godlewskiemu

Jazda z Hajfy trwała ponad dwie godziny i gdzieś w połowie drogi zobaczyliśmy, że z nim jest całkiem źle. Szofer powiedział, że już niedaleko do Tel-Awiwu, i gnał tą swoją starą taksówką z piskiem kół po zakrętach, tak że czuliśmy się trochę niby aktorzy w gangsterskim filmie. Raz nawet chciał nas zatrzymać policjant; podniósł rękę, ale szofer pojechał dalej. W lusterku widzieliśmy, że policjant zawraca do swego harleya, który stał w cieniu, a potem machnął ręką; było za gorąco. Stał tam na środku drogi zdjawszy hełm i ocierał dłonią spoconą twarz.

– Jak z nim? – zapytał szofer nie odwracając głowy.

– Kończy – powiedział Robert. Odwrócił się do mnie. – Teraz będzie miał ciszę i ciemność. Czy będzie się znów czuł rozczarowany?

– Znaliście go? – zapytał szofer.

– Nie – powiedziałem. Musiałem trzymać naszego psa za obrożę: rwał się i warczał już od dłuższego czasu. To pewnie ten konający nie dawał mu spokoju.

Ale w Tel-Awiwie ten człowiek umarł zaraz potem, jak wynieśliśmy go z taksówki; Robert, szofer i ja. Leżał na ławce oczekując ambulansu, a ktoś litościwy przykrył mu głowę gazetą; było to ilustrowane pismo z podobizną jakiegoś aktora patrzącego teraz na nas swymi kolorowymi oczami. Robert uniósł gazetę i popatrzył jeszcze raz na twarz umarłego.

– Zdaje się, że to Rumun – powiedział. – Musiał niedawno przyjechać z Europy. Nie umiał jeszcze ani słowa po hebrajsku.

– Nie nauczył się już, co najśmieszniejsze – powiedziałem.

– Nie jest dobrze.

– Myślisz o nim?

– Właśnie o nim – powiedział. – Jestem przesądny. Ten gość popsuje nam cały interes. Powinniśmy pojechać pociągiem.

– Jeszcze nie ostrygł w grobie, a ma nowego wroga – powiedziałem.

– Jasne – powiedział Robert. – Do trumny ze skurwysynem. – Patrzył na szofera, który pochylił się nad tamtym usiłując odczytać nazwisko aktora. – Pójdziemy już, szefie – powiedział. – Nie możemy czekać.

– To John Wayne – powiedział szofer i odwrócił się do nas. – Nie możecie jeszcze trochę poczekać? Wiecie, jak to jest z policją. Oni zawsze myślą, że było inaczej od tego, co człowiek im powie. Tak będzie lepiej dla mnie.

– Mamy interes do załatwienia – powiedziałem. – Mieszkamy na Allenby pod pięćdziesiątym szóstym. Powiedz to policji, gdyby o nas pytali.

– Na pewno będą pytać – powiedział szofer. Znów pochylił się nad tamtym. – Ale to nie John Wayne. Wayne’a widziałem w *Pościgu*. To ktoś inny.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy i weszliśmy do hotelu. Portier siedział w fotelu czytając jakąś książkę. Pomyślałem sobie o tamtym i spojrzałem na okładkę: był to jakiś cacus mordujący kobietę. Być może zresztą, że działało się odwrotnie.

– Długo jechaliście? – zapytał portier.

– Dwie godziny. Jakiś człowiek umarł w taksówce – powiedziałem. – Leżał cały czas na Robercie.

– Skurwysyn – powiedział Robert. – Nie przyniesie nam szczęścia. Masz dla nas dwa łóżka, Harry? – Portier nie odzywał się: czytał dalej książkę, a ja znów popatrzyłem na kolorową okładkę. – Za żywy grosz – powiedział Robert.

Teraz dopiero odłożył książkę i odwrócił się.

– Długo zostaniecie?

– Nie wiem tego – powiedziałem. – Przyjechaliśmy wyjąć parę groszy. To dlatego on jest taki wściekły. Myśli, że truposz popsuje mu ten cały pomysł.

– Będiesz go znowu żenić? – zapytał portier Roberta.

– Czy źle go żeniłem do tego czasu?

Portier patrzył teraz na mnie.

- Jest stary – powiedział po chwili. – I wygląda na cholernie zmęczonego.
- Nie martw się o mnie, Harry – powiedziałem. – Zostaw to Robertowi. On już wie, jak wyjąć tę forszę.
- Pewnie, że wiem – powiedział Robert. – To tak samo jak z rysunkami. W rysunku najważniejszy jest pomysł. A ja mam dla niego jeszcze całą kupę pomysłów.
- Jest stary – powtórzył portier.
- Zostaw to mnie. Ja już wiem, co mam z nim zrobić. Ja za ten jego smutny pysk wyciągnę całą loterię pieniędzy. Masz dla nas te łóżka czy nie?
- Za psa musicie też zapłacić – powiedział portier. – Takie są przepisy.
- Już zapłaciliśmy za niego. Przy kupowaniu.
- Ile?
- Prawie sto funtów. To rasowy pies. A może myślisz, że nam go dali za darmo? I jeszcze niańkę do niego. Nie myślisz tak, nie?
- Płacicie z góry – powiedział portier. – Cztery funty. A pies niech się nie pęta po hotelu.
- Jest cały czas z nami – powiedziałem. – Chodzi tam, gdzie i my chodzimy. Nie mamy przed nim tajemnic.

Portier znów popatrzył na mnie. Widziałem, że bardzo chciał uśmiechnąć się nieprzyjemnie. Ale nic z tego nie wyszło: jego twarz drgnęła tylko; na wszystko było zbyt gorąco.

- Pewnego dnia weźmiesz za dużo i będzie koniec – powiedział do mnie portier. – Już ostatnim razem było z tobą źle. Musieli ci dawać maskę tlenową. Myślałem, że to już ostatni raz.
- To dlatego, że nie zjadłem przedtem porządnej kolacji – powiedziałem. – Każdy może zrobić błąd, Harry.
- Ale ty już zrobiłeś to przedtem w Jerozolimie – powiedział. – A potem musieli cię trzymać na psychiatrii. Pokój czternaście.

Podszedłem do tablicy i zjąłem klucz.

- Wyjąłem wtedy całą kupę pieniędzy – powiedziałem. – Właśnie wtedy w Jerozolimie.
- Jesteś stary – powiedział. Wziął książkę do ręki i odwrócił się. Pieniądze wzięte od nas schował do biurka; nie chciało mu się nawet porządnie zamknąć szuflady.
- Wróćcie wcześniej?
- Wrócimy przed dwunastą – powiedziałem. – Teraz idziemy się trochę umyć i już nas nie ma.
- Macie własny ręcznik? – zapytał Harry.
- Nie – powiedziałem.
- Dwa ręczniki... to będzie pół funta.
- Nie pękniemy bez tego pół funta – powiedziałem.

Harry wyciągnął dwa ręczniki z szuflady, a ja je wzięłem. Robert wyrwał mi jeden ręcznik i podał Harry'emu z powrotem.

- Wystarczy nam jeden – powiedział.
- Jeśli mam być szczery, to wolałbym mieć ręcznik dla samego siebie – powiedziałem.
- Naucz się oszczędności w małych rzeczach – powiedział Robert. – Inaczej nigdy nie dojdiesz do forsy. Czytałem niedawno, że kanclerz Adenauer kazał sobie zapłacić za wywiad telewizyjny, wziął forszę od tego reportera i schował ją do kieszeni, a osiem milionów Niemców patrzyło na to. Tak trzeba żyć.

Weszliśmy w ciemny korytarz, na którego końcu siedział garbus i czytał. W słabym świetle żarówki padającym z boku spojrzałem na jego twarz; miała fałszywy, bolesno-słodki

wyraz, jaki często spotykamy u kalek. Potem spojrzałem na książkę, którą czytał: był to żywot świętego Pawła z Tarsu.

– Jeszcze jeden katolik – powiedziałem. – I to nie z idealizmu. A w dodatku garbus.

– Dlatego przeszedłem na katolicyzm, że księża obiecali mi pomoc przy uzyskaniu wizy kanadyjskiej – powiedział garbus. – I co u ciebie słychać? Żyjesz jeszcze?

– Nie bój się o mnie – rzekłem. – A ty siedzisz w dalszym ciągu przed sraczem, nie? Nic się nie zmieniło?

– Tu mam bliżej – powiedział wskazując na drzwi toalety, przed którą siedział. – Jak mnie przycisnie, to mam tylko jeden krok. O co ci chodzi?

– Znam go już trzy lata – powiedziałem do Roberta. – I przez cały czas siedzi przed sraczem. Dobry jest, nie?

– Może by go można jakoś wykorzystać – powiedział Robert.

– Masz jakiś pomysł?

– Może coś wymyślę. Garbus nie jest zły – powiedział Robert. – Teraz idziemy się umyć.

– Ty, *blondie* – powiedział do mnie garbus. – W końcu tygodnia dostanę forszę od moich księży. Skombinuj mi jakąś dziewczynę.

– To będzie cię kosztować trzydzieści, może czterdzieści funtów – powiedziałem.

– A dlaczego od innych biorą tylko po dwadzieścia?

– Jesteś w końcu garbus, nie?

– Moi księża obiecali mi forszę, jak skończę naukę katechizmu. Przykazania wykułem już na gładko. A teraz czytam żywot świętego Pawła. – Podniósł się nagle; przez twarz jego przeszedł jakby skurcz bólu. – Przepraszam – powiedział. – Znowu się zaczyna.

Wszedł do toalety i zatrzęsł drzwi za sobą.

– Co z nim jest? – rzekł Robert.

– Nie mógł wytrzymać upałów i pił surową wodę – powiedziałem. – To było w czasie takiego chamsinu, który trwał osiem dni. W ten sposób przeziębł sobie żołądek. Lekarze dają mu węgiel i jeszcze inne medykamenty, ale to nic nie pomaga. A teraz jeszcze chce dziewczyny.

– Jasne – rzekł Robert. – Jego życie erotyczne to nieśmiałe próby onanizmu zakończone fiaskiem. A teraz idziemy się myć.

Zeszliśmy potem na ulicę i weszliśmy do pierwszej z brzegu kawiarni. Było tu trochę chłodniej; gumowe skrzydła wentylatora chłepały cicho powietrze. Można było patrzeć na nie, i to dawało złudzenie chłodu. Ale złudzenie też jest coś warte po dniu, który spalał się czerwonym blaskiem przez szesnaście godzin. Robert zamówił dwa piwa i kelner przyniósł je po chwili.

– Denerwuje mnie – powiedziałem.

– Kelner?

– Nie. Harry. Nasz portier. Co on wie? Ile wyjąłem w zeszłym roku?

– Nie musisz o nim wcale myśleć. Myśl o narzeczonej.

Popatrzyłem na naszego psa, który leżał nieruchomo wyciągnawszy przed siebie grube łapy.

– Może miał i rację – powiedziałem. – Jestem już stary. Nie bardzo wierzę, żeby nam się udało tym razem, Bobby. Pewnego dnia zauważą mnie zbyt późno i będzie spokój.

– Nie.

– Wiesz przecież, że może tak się zdarzyć.

– Nic ci nie będzie. Musisz jeść. Zawsze przedtem musisz zjeść porządną kolację. A poza tym twój organizm przyzwyczał się już.

– Boję się, czy już nie za bardzo – powiedziałem. – Z tymi, co są niby przyzwyczajeni, jest właśnie najgorzej. Pewnego dnia może być całkiem kiepsko. Wiesz przecież o tym.

– Pewnie, że może być źle – powiedział. – Ale ja nie jestem na tyle mądry, żeby cię ubezpieczyć z polisą i tymi całymi historiami. Nie jesteś amantem filmowym, a ja nie jestem twoją wdową.

– Nie – powiedziałem. – Jak Boga kocham, że nic takiego nie przyszło mi nigdy do głowy.

– Zresztą nie robisz tego dla przyjemności – powiedział. – I ja też nie. Nigdy nie myślałem, że wpadnę na ten pomysł. Moja specjalność to Szekspir. Po to chodziłem na anglistykę, żeby go czytać w oryginale. I to jest właśnie to, co bym chciał robić.

– Nie mów o tym, Bobby.

– Mogę o tym śmiało mówić. Czy mówiłem ci już, jaki mam pomysł na Makbeta?

Nie odpowiedziałem mu. Mówił mi o tym ze sto razy; mówił mi o tym w Jerozolimie, w Hajfie i w czasie tych wszystkich dróg, które zrobiliśmy razem; i w czasie tych wszystkich nocy, w ciągu których nie można było spać. To właśnie wtedy, kiedy o tym mówił, jego brzydka twarz poczyniała życie. Pomyślałem sobie, że teraz przyjdzie to najgorsze.

– Czy mówiłem ci już o tym? – powtórzył. Był natarczywy jak każdy maniak.

– Znam tę sprawę – powiedziałem i było mi go trochę żal. – Jesteś dobry, Robert. Przykro mi, że twój cały teatr to ja. A teraz jestem już do niczego. Wyglądam kiepsko. Nie wierzę, żeby ta dziewczyna na to poszła. Przykro mi, ale nie.

– Pójdzie na to – powiedział. – Bądź spokojny. To już ja od tego, że ona na to pójdzie. A po drugie, to ona była dziewczyną w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. I nie myśl więcej o swojej twarzy. To po prostu tak samo jak z Szekspirem. Jego nie wolno grać. Trzeba tylko umieć powiedzieć tekst. Najgorsze jest właśnie to, że ludzie uparli się go grać, a to jest straszne. Jak można zagrać tę scenę, kiedy Hamlet choleruje się z bratem Ofelii nad jej otwartym grobem? Olivier chciał grać Szekspira i zrobił z niego teatr. A Szekspir nigdy nie był teatrem.

– Nie mów tego głośno.

– Tobie to mówię – powiedział. – Ty po prostu wyszczekasz swój tekst i zejdziesz ze sceny. Nie potrzebujesz wcale grać. Zresztą przejdziemy tę całą sprawę od początku.

– Teraz?

– Nie. Odpocznijmy trochę. Wypijemy to piwo i pójdziemy szukać forsy. Teraz jest już trochę chłodniej. – Umilkł na chwilę, a potem zapytał: – Co ten gość powiedział?

Nie zrozumiałem.

– Kto?

– Ten w taksówce. Zrozumiałeś jego ostatnie słowa?

– Nie bardzo. Zdaje się, że „módlcie się za moją duszę” czy coś w tym rodzaju.

– On to powiedział po niemiecku?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI